

Od autora: Drugie i jak na razie ostatnie opowiadanie z dreszczem. Jak poprzednie kameralne, wyciszone. Bardzo zimowe. Debiutowało jakiś czas temu na blogu naszego portalowego kolegi Aleksandra81, ale w międzyczasie zmieniłem tytuł i poczyniłem małe "słów cięcie-gięcie". Zapraszam serdecznie do czytania :)

*„Właśnie dlatego, że mieliśmy takich wielkich pisarzy w przeszłości,
pisarz musi podążać daleko poza punkt, do którego może dojść,
tam gdzie nikt nie potrafi mu pomóc.”*

(Ernest Hemingway)

I

Fred nie dokończył, gdyż potężny cios wylądował na lewej szczęcie.

Wiązało się to z jego nagłym upadkiem oraz przewróceniem się drewnianego krzesła, na którym dotychczas siedział.

Zebrani ujrzeli tylko numer butów, wytłoczony na czerwono na jasnych podeszwach, którymi zamachał pokracznie w powietrzu, i nieodklejoną, białą metkę z niewybaczalnie niską ceną.

Na szczęście obeszło się bez rozlewu krwi – dywan nie został zaplamiony.

- Niektórzy nie potrafią pogodzić się z przegraną - wysnuł właściwy wniosek Henry. – Nie powinieneś tu przychodzić z takim nastawieniem, człowieku. Jeśli dotąd nie nauczyłeś się przegrywać, nie siadaj więcej do pokera. Nie bierz się za rzeczy, które nie są dla ciebie.

- Jak dzisiaj – dodał Bob. – Miałeś pokaz, że on jest ciągle w formie. Na przyszłość wybieraj takich, z którymi uda ci się wygrać. Pomyliłeś adres, Fred, w ogóle coś ci się dzisiaj pomieszało w tej biednej, zazdrosnej głowie.

- Pijmy. Po co tyle gadać – odezwał się nagle spokojnym głosem gospodarz.

Wtedy Fred dźwignął się z podłogi, i rozcierając obolałą szczękę, syknął:

- Chcę jeszcze raz zagrać. Nie ruszę się stąd, jeśli nie zagram!
- O! To coś nowego – zaśmiał się Bob. – Już nie boisz się żony?
- Z tobą nie gram. Z nim... - powiedziawszy to, wskazał na Cliffa. – Chcę pograć „grubo”.
- To znaczy? Co masz dokładnie na myśli? – zapytał zaintrygowany gospodarz.
- Zaraz powiem. Najpierw się napiję. Potrzebuję wypić trzy kolejki.

Polali i Fred wychylił duszkiem trzy kieliszki rumu Diabło, jakby to była woda czy mleko.

Przez chwilę wydał się nawet męski.

Chrząknął jak kowboj, wchodzący do saloonu, otwierający jego ruchome drzwiczki solidnym kopniakiem, po czym spytał, jak gdyby był sędzią w sądzie albo policjantem drogowym:

- Ile masz w domu?
- Dużo – padła szybka odpowiedź.
- Interesują mnie sumy sześciocyfrowe.
- Mnie też.
- Zaczynające się od dwójki w górę.
- Czytasz w moich myślach.
- Pokaż.
- O co gramy, Fred? – spytał Cliff i nawet oko mu nie drgnęło.
- O coś ekstra – odpowiedział tamten. – O wszystkie twoje pieniądze. I o to, co ja stawiam.
- Dowiemy się w końcu, co to będzie? – odezwał się jakby od niechcenia Henry.
- Ty nie grasz, więc nie gadaj do mnie. Od tej pory wy nie gadacie. Tylko ja i on.

Zignorowali jego prowokacyjne zachowanie.

- Niech mu będzie. Nigdy się nie nauczy, nigdy. Jest za bardzo w gorącej wodzie kąpany do tej zabawy.

Tacy wygrywają w karty tylko na kiepskich filmach.

- O co gramy, Fred? – Cliff spytał raz jeszcze, spokojnie i bez emocji.
- O dom.
- Coś dokładniej, hm?
- Jest dom, który dziś stawiam.
- To już wiem. Może jakieś szczegóły?
- Parę lat temu odziedziczyłem go po babce. Na wsi. W zasadzie poza nią, na uboczu, w lesie. Na razie go nie sprzedałem. Nie śpieszyło mi się. Czekałem aż ceny pójdą znów w górę. Wchodzisz w to, Cliff?
- Tak.
- Więc pokaż mi, co masz. Wtedy zaczniemy. Tylko, kiedy zobaczę gotówkę – ciężką gotówkę.

Obserwujący z boku tę scenę mężczyźni uśmiechnęli się znacząco do siebie i milczeli.

Nie chcieli psuć widowiska.

Na coś się wyraźnie zanosilo.

Że będzie to ostra rozgrywka, wiedzieli już od kilku minut.

- Poczekaj – rzekł Cliff i opuścił pokój.

Zapanowała grobowa cisza.

Jednak Fred nie wytrzymał:

- Przyszedłem tu, bo myślałem, że po tym, no, rozumiecie, „pobycie” *TAM*, łatwo da się go ograć. Przecież niektórzy nie wracają *STAMTAD* już tacy sami. Do końca życia uśmiechają się do siebie głupkowato. Na to liczyłem. Jak *TAM* miał jechać, nie było już z nim dobrze.
- Te jego pomysły, marzenia! Głupoty jakieś! Literat z bożej łaski. Nawiedzony grafoman! Teraz przeżywa okres „wypalenia twórczego” i nic nie pisze. Wiecie czemu? Powiem wam. On pisze tylko *TAM*. Tylko, kiedy przychodzi „jego godzina”.
- Cicho siedź – warknął Bob. – Sam byś chciał mieć talent do czegoś. Ale nie masz do niczego. Nawet nie umiesz przegrywać jak prawdziwy mężczyzna. Jakby ci dali karabin, nie wiedziałbyś, z której strony jest lufa. Nawet żony się boisz.
- Nawet żony... - wtórował Henry.
- Karciarz się znalazł.

Fred nie zdążył odpowiedzieć, bowiem do pokoju wszedł właśnie Cliff.

Miał w ręku dużą, czarną torbę podróżną.

Położywszy ją na stole, bez pośpiechu otworzył.

Po brzegi wypełniona była banknotami o wysokich nominałach.

- Teraz mi wierzysz? – zapytał beznamiętnie Freda.

- Taaak... - wyseplenił ten z trudem.

- To zaczynamy.

Usiedli przy stole naprzeciwko siebie.

Między nimi leżała talia kart.

Było bardzo cicho i tylko ołowiane powietrze wisiało pod sufitem.

Wówczas Cliff zapytał:

- Co z tym domem? Ja też nie muszę ci wierzyć.

- Nie mogę ci udowodnić, że mówię prawdę, bo nie mam przy sobie dokumentów.

Ale mamy tu dwóch świadków. Jeśli jakimś sposobem przegram, dom jest twój.

Daje ci na to moje słowo. Notariusz załatwi resztę.

- Dobrze – rzekł bez cienia zdenerwowania gospodarz. – W takim razie czas rozpocząć grę.

Tego wieczora Fred dostał solidne lanie – Cliff puścił go z torbami.

Grali długo, aż do rozstrzygającego końca.

Niepostrzeżenie minęła północ.

Gdy potem przegrany z obłędem w oczach opuszczał dom „literata z bożej łaski”, oprócz tego, że stracił właśnie nieruchomość, którą planował z zyskiem sprzedać, gdy nadejdzie odpowiednia pora, pewien był jeszcze czegoś – tego, że nigdy już nie usiądzie do kart.

II

Fred dotrzymał słowa – dom stał się własnością Cliffa.

Pojechał tam pewnego dnia, aby mu się bliżej przyjrzeć. Z zewnątrz prezentował się okazale i nie raził niczym. Schludne, zwyczajne, wiejskie domostwo, jakich wiele. Gorzej było w środku – tu aż prosiło się o solidny remont i odmalowanie ścian i sufitów. Pokoje były puste i nieumeblowane. Kuchnia obszerna i

odchodził od niej spory spichlerz. Lecz jaki sens miałyby szykowanie tego wszystkiego? Kto miałby mieszkać w pięciu izbach?

Ten dom był naprawdę wielki, za wielki jak dla jednego człowieka.

- A niech sobie stoi tak, jak jest. Na razie nic nie planuję.

I rzeczywiście długo nic w sprawie domu nie robił, aż do jesieni.

Jednak czas nie lubi stać w miejscu i będąc w ciągłym ruchu przynosi niezwykle, nieoczekiwane zmiany. Jak ta, którą w jeden z wielu październikowych dni poczuł „gdzieś w powietrzu”, niby zapowiedź naglej, lecz trudnej do zdefiniowania metamorfozy. Była jak dotknięcie magiczną różdżką, która odmienia w ciągu jednej sekundy to, co właśnie dotknęła. Czyżby było to dziełem przypadku?

Wtedy to nadeszło.

I pozostało w nim.

W takich sytuacjach sprawy potrzebują długich miesięcy, aby stopniowo i niepostrzeżenie uformował się nowy obraz świata, i co najważniejsze, siebie samego.

- Czyżby nadszedł czas, aby zająć się pisaniem? Coś mi się widzi, że to chyba już „ta” pora. Znów jestem sobą i mogę tworzyć coś z niczego. Nadejdą teraz bezsenne noce i doba stanie się dla mnie jednym, długim dniem. Lecz dlaczego miałbym pozwolić, aby mój talent rozkwitał tylko *TAM*, zamiast eksplodować pod samo niebo na bardziej „otwartej przestrzeni?”

Jeszcze tego samego dnia był w wiejskim domu, który wymagał remontu, i nagle fakt ten wydał się czymś oczywistym i jasnym jak słońce. Dziwną wydawała się wielomiesięczna zwłoka i jałowe życie bez napisania bodaj jednej, marnej linijki tekstu, nie mówiąc już o jakiejś większej całości.

Co z tego, że w tym okresie zaostrzyło się tzw. zdrowe, logiczne myślenie, skoro jedynym jego pozytywnym skutkiem były częste wygrane w pokera i nic ponadto.

Może jeszcze kontakty z ludźmi, twardo stąpającymi po ziemi, z którymi poprzestawał „na zasadach ogólnie przyjętych za normę”, co wiązało się z tym, iż sedno jego osobniczej jaźni wciąż było w uśpieniu, czekając cierpliwie na moment wyzwolenia i przebudzenia z przykrego letargu.

Każda monomania w końcu staje się nudną kulą u nogi – nawet, jeśli zasila wielką, czarną torbę w kolejne paczki banknotów o wysokich nominałach. Ile można grać w karty, ile trzeba grać, aby to sobie definitywnie obrzydzić? Czasem granica, czy jest się sztuką, czy sztuka jest człowiekiem, jest bardzo płynna i niedostrzegalna, a może w przypadku niektórych indywiduów wcale nie istnieje?

Zaparkował samochód na wielkim podwórzu, porośniętym wysoką, niekoszoną od dawien dawna trawą i z zadowoleniem rozejrzał się po okolicy – wszędzie szumiały rozkwitłe niegdyś w majowym słońcu drzewa, pachniały gęsto usadowione wzdłuż płotu wonne krzewy, liczne ptactwo śpiewało zawzięcie wesołą piosenkę o radości istnienia.

Choć na świecie na dobre rozgościła się jesień, wciąż było ciepło i słonecznie, wprawdzie noce bywały już zimniejsze niż w środku lata, wróżąc mającą za jakiś czas nadejść zimę.

Po chwili przyjemnego zamroczenia otworzył bagażnik, i zabrawszy część rzeczy, których miał ze sobą sporo, ruszył wesoło pogwizdując w kierunku drzwi. Otworzył je i wszedł do środka. Było cicho i nieco dusznawo: bez wątpienia od dawna nikt tu nie zaglądał.

- Trzeba wpuścić trochę zdrowego powietrza. Skoro mam tu spędzić wiele miesięcy, należy wszystko to ogarnąć i doprowadzić do stanu użyteczności. Tylko w takim otoczeniu będę w stanie stworzyć coś, co

powali na kolana tych wszystkich, którzy się dotąd na mnie nie poznali.

Gdy już wniósł wszystkie bagaże i maszynę do pisania, odetchnął z ulgą – był w domu.

Należało teraz przygotować „legowisko”, a następnego dnia rano pojechać do miasta i kupić pierwsze, najniezbędniejsze meble – wygodne łóżko, szafę na ubrania, stół i krzesła oraz zamówić gdzieś opał – najlepiej węgiel, gdyż nie chciało mu się bawić siekierą i godzinami, zamiast pisać, rąbać wielkie pnie i trwonić siły na rzeczy bzdurne i durne.

Nosił się także z zamiarem zakupu ogromnej ilości świec, bowiem to właśnie przy ich kojącym nerwy blasku najlepiej mu się pisało – ot, kaprys artysty.

Z elektryczności chciał korzystać jedynie w niezbędnych sytuacjach – ten swoisty „powrót do korzeni” zawsze robił dobrze jego sztuce, obfitując w konsekwencji w utwory tajemnicze, dziwne i niesamowite, o onirycznej aurze, wielowymiarowe, podsycane tym, co nadrealne.

Choć *TAM* tylko czasami używał świec, potajemnie, rzecz jasna, teraz jako człowiek wolny i niezależny mógł stworzyć sobie swój warsztat twórczy według własnych wizji i adekwatnych do potrzeby chwili pomysłów.

Na podłodze położył koc i to właśnie na nim spędził pierwszą noc.

Spał krótko, snem szarpanym i przerywanym ciągłym budzeniem się. Prześladowała wciąż ta sama obsesyjna myśl – pisać, pisać, pisać. Szkoda czasu na sen, szkoda go na wszelkie, niepotrzebne sprawy. Nie chciał zmarnować nawet jednej godziny, którą mógł poświęcić na tworzenie oraz w początkowej fazie pobytu, na postawienie domu „na nogi”, aby stał się pracownią godną mistrza, oazą świętego spokoju, gdzie będzie mógł pobyc sam na sam ze swymi myślami, wyobrażeniami i marzeniami.

Po zjedzeniu prostego śniadania, złożonego z jabłka i kawałka wędzonego kurczaka, pojechał podeksytowany na zakupy, i nabywszy oraz zamówiwszy to, na czym mu najbardziej zależało, niezwłocznie powrócił szczęśliwy do domostwa.

Meble miały nadjechać wieczorem, więc póki co było nieco czasu na mały spacer po okolicy.

Wokoło gęsty las, bezkresne pola i łąki. Nigdzie żywej duszy. Najbliższa chałupa znajdowała się dobry kilometr dalej. Cieszyło go to odosobnienie i spokój, brak miejskiego zgiełku.

Wciąż ciepłe, jesienne słońce błogo spływało na zadowoloną twarz.

Miał to, czego szukał – słodką samotnię, swój „teren prywatny”.

Obejrzawszy pobliski, pełen czerwonych i żółtych liści zagajnik, czysty, szumiący strumyk i ciągnące się aż po horyzont ciche, drzemiące w jesiennej nostalgii wygony, wrócił wielce kontent do siebie i poczuł, że rozsądza go chęć działania.

Z miasta przywiózł nowiutką, ostrą jak brzytwa kosę, osadzoną na solidnym drzewcu, którą chwyciwszy ochoczo w dłoń, zaatakował z impetem bujne kępy chwastów, gęsto obrastające podwórze. Nie chciał tu tego – grunt to porządek, a zadbane obejście zawsze cieszy oko.

Otoczenie ma wszak ogromny i decydujący wpływ na duszę i to, co rodzi się w umyśle.

Tego wieczora zamierzał rozpocząć pracę – utwór był już w jego wyobraźni.

Gdy kończył wycinkę potężnych zielsk nieopodal starej stodoły znajdującej się na końcu posesji, przywieziono węgiel i zrzucano do budynku gospodarskiego, który niegdyś musiał być czymś w rodzaju warsztatu lub składu narzędzi.

Niebawem nadjechały meble i ogromna ilość kolorowych farb – od białej do sufitów, po seledynowe, pomarańczowe i żółtawe, do pokoiów i kuchni.

Nie śpieszyło się do miasta, tam zawsze mógł wrócić.

Mieszkanie zamknął na cztery spusty, i nie mówiąc nic znajomym, po prostu wyjechał.

Niebawem zabrał się za malowanie.

W ciągu pięciu dni pomalował pięć pokoi i kuchnię, w której zamieszkał, nie odczuwając bynajmniej wyczerpania ani spadku sił fizycznych, uwijając się jak w ukropie.

Wręcz przeciwnie – wypełniało go niezmiennie błogie pobudzenie i niezachwiane niczym przekonanie, że roznosi go nieziemską energią, kosmiczną wszechmoc, co z kolei sprawiało, że stopniowo zaczął wydłużać się jego dzień – spał bowiem coraz krócej.

Gdy skończył pracę, chodząc od pokoju do pokoju, mówił z przejęciem, wieszając na ścianach wielkie portrety pięciu mężczyzn, przywiezione tu z miejskiego domu, oprawione w solidne, drewniane ramy:

- **Pokój zielony** dla ciebie, wielki pasjonacie życia, szalony wielbicielu przygód. Nie bałeś się wyjeżdżać na wojny, widziałeś walkę Boga z czerwonym diabłem w Hiszpanii, nie straszne ci były choroby, pijaństwa i bijatyki. Twoje opowiadania i powieści zna każdy, kto umie czytać. Dzięki tobie świat dowiedział się, że stary człowiek potrafi stoczyć na otwartym morzu walkę życia z ogromną rybą... i pozornie przegrywając, wygrać z własną słabością. Byłeś jak niedźwiedź, którego można zabić, ale nie pokonać. Najgorszego wroga znalazłeś w samym sobie. Był w tobie od zawsze – życie na maniakalno-depresyjnej karuzeli kończy się często bolesnym upadkiem.

Pamiętasz tamten lipiec 1961? Tamtą dubeltówkę, z której strzeliłeś sobie w usta?

Ostatnie spojrzenie na piękną Amerykę?

Bądź mi zielonym...

- **Pokój pomarańczowy** dla ciebie, wieczny wędrowcze bez ojczyzny, okrzyknięty zdrajcą we własnym kraju, pozbawiony do niej powrotu. Tułałeś się po całym świecie i nigdzie nie odnalazłeś szczęścia. Wszędzie byłeś obcy i nie dane ci było zaznać ciepła rodzinnego domu.

Pisałeś jak żyłeś, żyłeś jak pisałeś. Byłeś awanturnikiem i życiowym ryzykantem. Kobiety za tobą szalały, lecz nie umiały ich kochać. Ożeniłeś się dla pieniędzy z niemiecką aktorką, która do dziś pisze o tobie wspomnienia, choć wasze małżeństwo było fikcją i trwało krótko.

Bywało, że nędza zaglądała ci w oczy. Kreowałeś się na prawdziwego mężczyznę, w rzeczywistości będąc słabym, skłonny do depresji, nadwrażliwcem. Pamiętasz czerwiec w Niemczech, w Wiesbaden? Pewną noc, tę ostatnią noc, którą widziałeś? Trochę leków nasennych, za dużo wódki... Rano byłeś już tylko wspomnieniem.

Bądź mi pomarańczowym...

- **Pokój żółty** dla ciebie, wielki noblisto za rok 1949 ze stanu Missisipi, który pisałeś o spokojnym życiu amerykańskiego południa, językiem barwnym, pełnym długich, zaskakujących zdań, powalając na kolana wyszukany tok narracji i bogactwem wnikliwych obserwacji psychologicznych.

Interesowały cię silne namiętności ludzi, walczących z tragicznym przeznaczeniem, związanym nieraz z biegiem historii i borykających się z żywiołem lub miłosną pasją.

Są tacy, którzy wierzą, że byłeś odkrywcą nieznanych wcześniej metod literackich.

Podzielałam ich zdanie – tak było zaiste.

Otworzyłeś mi oczy na to, że pisać można na bardzo wiele sposobów.

Bądź mi żółtym...

- **Pokój czerwony** dla ciebie, dziki piewco szaleństwa, obłądu i odmiennych stanów świadomości, które

niejednokrotnie były twym udziałem. Mroczny, groteskowo-makabryczny romantyku, nurzający się z lubością w oparach piekielnych wyziewów.

W twych oczach czaił się demonizm umysłu, jego mroczne iluminacje, ponure blaski.

Twój surrealistyczny humor brzmiał złowieszczo i koszmarnie, jak dowcip opowiadany przez wisielca, który wciąż żyje i nie urwał mu się sznur. Nikt nie wie do dziś, czy był to twój alkoholizm, choroba serca, zapalenie mózgu, śmiertelny atak epilepsji, czy efekt wścieklizny, na którą w twoich czasach nie było jeszcze lekarstwa.

Pamiętasz październik w Baltimore, ulicę, na której cię znaleziono w wielkiej niedoli, delirium? Potem tę ostatnią niedzielę w pewnym szpitalu w 1849 roku, gdzie byłeś już tylko ciałem...

Bądź mi czerwonym...

- **Pokój niebieski** dla ciebie, trawiony od dzieciństwa gruźlicą, geniuszu literatury grozy, klasyku noweli fantastycznej z okolic Lwowa w Galicji, niedoceniony przez współczesnych, zapomniany przez ich następców. Byłeś nauczycielem gimnazjalnym i wielkim mistykiem słowa. Równych sobie mieć nie będziesz. Odeszła od ciebie żona, odeszły i dzieci – porzucono cię, kiedy najbardziej potrzebowałeś miłości świata. Twoje spojrzenie to spojrzenie żywcem wzięte z zaświatów i odbicie blasków z „tamtego brzegu”.

Kochałeś pisać o kolei i demonach, które żyją w metalowych cielskach pociągów.

Jeśli istniał kiedykolwiek prawdziwy Książę Fantastów – ty nim byłeś w całym geniuszu.

W 1936 roku przyszło ci spotkać się pewnego listopadowego dnia z Bogiem.

Bądź mi niebieskim...

Zawiesiwszy ostatni z portretów, usiadł na podłodze i pogrążył się w zadumie.

Był szczęśliwy, bowiem nie był już sam – w jego domu wisały podobizny ukochanych pisarzy, nauczycieli i mistrzów.

Tych, którzy wskazali mu drogę, zapłodnili twórczo umysł.

Dali mu siebie – własną substancję.

Zamieszkali na jego ścianach.

III

Tymczasem niepostrzeżenie minęła jesień, zaczęła się zima. Świat stał się biały i mroźny.

Wyciszony i senny, jakby życie toczyło się gdzieś daleko, w innym wymiarze.

Dobrze było w domu, dobrze i ciepło, nikt nie zakłócał spokoju, w piecu igrał wesoło ogień.

Miał już za sobą prawie dwieście stron powieści fantastyczno-metafizycznej, zatytułowanej:

DEMONICZNY SPAZM, CZYLI OSOBLIWY PRZYPADEK PEWNEGO SZALONEGO LOTNIKA.

Wiele tygodni wcześniej rzucił się w wir pracy i nic nie zapowiadało, aby odczuwał zmęczenie, brak snu czy jakiegokolwiek wyjałowienie umysłu, tworząc w dzikim zapamiętaniu kolejne rozdziały dzieła. Oddał się temu bez reszty, zaniedbując poważnie ciało i duszę.

Raz dziennie zjadał skromny posiłek, gdyż to mu w zupełności wystarczało – nie czuł głodu. Również raz dziennie wychodził na dwór, aby wykonać tzw. „manewry niezbędne”, czyli mały spacer po podwórzu, które wyglądało teraz jak jedna, wielka, biała pierzyna, a dokładnie tylko wytyczonym przez siebie szlakiem, wiodącym do składu z węglem i z powrotem. Kilkanaście minut wystarczało. Dalej się nie zapuszczał – z wiadomych względów było to niewykonalne. Musiałby brnąć po kolana w śniegu, czego raczej nie chciał. Przez ostatnie tygodnie biały puch zasypał wszystko, co było do zasypania. Pozostawało zatem spacerowanie wzdłuż przetartych szlaków, krokiem sprężystym, zdecydowanym, który z biegiem czasu stawał się coraz bardziej chwiejny i niepewny.

Podczas jednego z takich „spacerów” nagle poczuł, że gdzieś nieopodal ktoś jest. Bardziej to „pojął”, niż usłyszał. Ta pewność nakazywała rozejrzeć się dookoła w poszukiwaniu dziwnego gościa. - Może siedzi tam, gdzie trzymam węgiel? Zajrzał, lecz niczego nie odkrył – poza wielką górą opału nikogo w składzie nie było. Wtedy odniósł wrażenie, że na podwórzu pod czyimiś stopami zaskrzypiał śnieg. Wyjrzał z zaciekawioną i ponownie dostrzegł tylko to, co znał już na pamięć – wysokie zaspy, wśród których utworzył się korytarz do budynku z węglem.

Kiedy szedł do domu, gdzieś za nim, rozległy się ledwie słyszalne szepty. Przez chwilę zdawało mu się, jakby dobiegały z kilku kierunków naraz.. Niczym szum wiatru, niczym szelest liści, których nie ma. Przedziwny pogwar. - Co jest? Co jest, do diabła? Tam była tylko biel śniegu, oślepiająca blaskiem. Biała pierzyna, pokrywająca ziemię. - A więc nic... To dobrze, to dobrze... - rzekł do siebie i wszedł do sieni, zamykając za sobą drzwi. Trochę zmarzł. Było mroźno i ostro. Jak to w lutym, a ten najwyraźniej należał do srogich. Szybko wrócił do pisania, i po chwili bębnił już jak wytrawny pianista po klawiaturze maszyny, przenosząc się do świata, który opisywał i tworzył każdego dnia i każdej nocy, pod tym samotnym dachem, w słodkiej samotni, gdzie czas zdawał się stać w miejscu.

*Nawet nie zauważył, że jeszcze nic nie jadł, ani nie pił.
Nie odkrył też tego poprzedniego dnia.*

Była tylko fantastyczna opowieść, którą zapamiętane tworzył, i długie, wieczorne rozmowy z portretami na ścianach, milczącymi i bacznie obserwującymi każdy jego ruch. Czuł potrzebę podzielenia się z nimi tym, co aktualnie robił, o czym właśnie myślał, i co w danej chwili grało mu w duszy, wierząc, że słyszą każde jego słowo i rozumieją intencje.

- Marzy mi się być jak wy - szeptał z przejęciem, stojąc naprzeciw nich ze świecą w dłoni i wodząc po ich twarzach roziskrzonym, zamglonym spojrzeniem. – Marzę o tym, aby słowo ożyło. By poszło w świat i nie umarło wraz ze mną. Chcę odcisnąć własne piętno. Tego chcę, tego właśnie...

Pisał dalej – dniem i nocą, robiąc niekiedy krótkie przerwy, choć i to nie było regułą. Bywało, że spał trzy godziny na dobę, a może mniej. Oddał całego siebie osobliwej opowieści, od-

dychając innym wymiarem, nie widział już tego, co go otaczało. Przestał istnieć dla świata i świat nie obchodził go jak dotąd – te kierunki nie przecinały się w żadnym punkcie, nedorzecznie odległe, jakby organicznie do siebie nieprzystające.

Nie zauważył nawet, że skończyło się jedzenie.

Pozostało jednak sporo mąki, która zmieszana ze świeżym śniegiem, dawała mu podpłomyki, które piekł czasami na rozgrzanych fajerkach kuchni.

Robił to jednak coraz rzadziej, nie czując głodu.

Polubił wtedy jedzenie lodu.

Ssał go i wyczarowywał z niego miliony smaków.

Czuł się wolny i spełniony. Chciał, aby to trwało jak najdłużej. By nie było końca.

W głowie miał kolejne rozdziały fantastycznej powieści, następne przełomy akcji, zaskakujące suspensy.

- Muszę to skończyć do wiosny. Muszę, choćby się ziemia miała zawalić. Wrócę wtedy do miasta i zaśmieję się w nos tym wszystkiemu wydawcom. Pokażę im, kim naprawdę jestem.

Ten się śmieje, kto się śmieje ostatni. Tylko czemu tak bardzo kręci mi się w głowie?

Aż pewnego dnia, pod wieczór, w pełen dzikich poświstów zimowego wiatru nocny czas, nagle drgnął...

- Nie może być.

Coś usłyszał, usłyszał na pewno - to dochodziło z dworu.

To już nie było złudzenie – stamtąd napływały odgłosy, świadczące o tym, że ktoś stoi pod drzwiami.

Czyjeś głośnie chrząknięcie poszło w eter. Jakiś pomruk, niby zmęczenia, przedarł się przez ściany.

Ktoś wyraźnie zakaszał.

Wybiegł wtedy na dwór.

Wiatr smagnął go nielitościwie po twarzy. Włos uniósł się na głowie, a w nosie zapachniało mrozem: stanął i uważnie nasłuchiwał.

Przez moment miał wrażenie, że za węglem domu ktoś ciężko westchnął.

Nastąpiła jednak cisza, niezmacona najmniejszym odgłosem.

Zagwizdał ponownie zimowy wicher, zawyły zmarznięte wrony pod lodowatym niebem.

Stalowy blask księżyca oświetlał ciche, uśpione w śnieżnej bieli podwórze, na którym majaczyła tylko droga do składu z węglem.

Rozejrzawszy się raz jeszcze z niedowierzaniem, wrócił do środka.

Lecz odtąd, od owego wieczora, z każdym dniem słyszał coraz wyraźniej, coraz bliżej tajemnicze odgłosy, świadczące niezbić o czyjejś obecności w obrębie domostwa.

O zmroku, w tę przedziwną godzinę przesilenia dnia z nocą, zagadkowe poszepty, pomruki i pogwary znów powracały, trwając przez jakiś czas, potem milknąc nagle, rozwiewając się w przestrzeni, niemniej jednak nazajutrz, jakby nigdy nic, o tej samej porze, wracały mocniej, głośnie, prawie namacalnie.

Aż nadeszła w końcu osobiwa godzina spełnienia...

W marcową noc, gdy mróz trzymał ostro, a wokoło sypało obficie śniegiem, kiedy senny pisaniem pochylił głowę ku maszynie, pod drzwiami usłyszał znów ten sam, znajomy szelest-szept.

- Szszsz... - zaszemrało gdzieś niedaleko. – Szszsz...

Poczuł, że nie jest w stanie podnieść się z krzesła. Uczynił to kilka razy, lecz bez skutku. Nawet nie zauważył, że kilka dni temu jadł po raz ostatni. Nie zwrócił też uwagi na mokre ubranie poprzedniego dnia.

To efekt omdlenia i spędzenia w zaspie ponad godziny.

Jego świadomość nie odnotowała także faktu, iż do sieni wrócił na czworaka.

To wszystko przez te zawroty, przez tę piekielną słabość.

- Trzeba to sprawdzić - szepnął z trudem i całą siłą woli dźwignął się z krzesła.

W głowie zakręciło się paskudnie, zakłuło coś w potylicy.

Jednak stał.

- Mmmm... Mmmm... Mmmm... - mamrotało pod drzwiami.

- Zzzz... Wwww... Brrr... - siedł z dworu głuchy postępek.

Zmarszczył brwi i spojrzał w kierunku sieni.

Nasłuchiwał przez kilka sekund, i kiedy odgłos powtórzył się głośniejsze i mocniej, postanowił ruszyć na spotkanie z tym, co czekało na niego na dworze.

Z pokoju wtoczył się niepewnie do kuchni, i zatrzymawszy się na chwilę, mętym wzrokiem rozglądał się po ścianach, jakby w poszukiwaniu upragnionej odpowiedzi.

Wtedy usłyszał wyraźnie rozmowę kilku mężczyzn:

- Zaraz wyjdzie. Już tu idzie. Myślę, że za moment otworzy drzwi. Jeszcze trochę, już niedługo do nas przyjdzie. Jest już w kuchni. Już blisko. Idzie. Zaraz wyjdzie...

To go natychmiast otrzeźwiło, choć w jego stanie trudno było mówić o podobnym efekcie.

Spojrzał wyczekująco na drzwi, i nie mając nic do stracenia, otworzył je.

Wtedy zobaczył to, co czekało w nocnych mrokach.

Nagle stało się bardzo jasno, jak za dnia, jakby ktoś zapalił na podwórzu dziesiątki latarni i w ich blasku ujrzał pięciu mężczyzn, stojących na schodach do jego domu.

Bez trudu poznał ich.

Nie było z tym najmniejszego problemu.

Od zawsze znał ich twarze.

Ukochane, podziwiane, ubóstwiane.

Przed nim stali i uśmiechali się przyjaźnie:

Ernest, Marek, William, Edgar Allan i Stefan.

- Dobry wieczór, Cliff! Jak się masz? – pozdrowił go wesoło jeden z nich. – Nie spodziewałeś się nas tu, co? Chcieliśmy zrobić ci niespodziankę. Oto ona. Stoi tam, spójrz.

Powiedziawszy te słowa, mężczyźni jak na komendę odwrócili się i spojrzeli w kierunku wydeptanego w śniegu przejścia do składu z węglem.

Tam, pod budynkiem stała wielka, lśniąca, oświetlona przedziwnym, własnym światłem, złota maszyna do pisania.

- Szczere złoto – powiedział z dumą w głosie Ernest.

- Takiej jeszcze nie miałeś - dorzucił Marek.

- Na tym stworzysz cuda – oznajmił William.

- Jesteś jej wart – rzekł Edgar Allan.

- Teraz jesteś już skazany na sukces - zakończył spokojnie Stefan.

Cliff nie potrafił odezwać się – lzy szczęścia dławiły słowa.

Wilgotne oczy wpatrywały się nieruchomo w przepiękną maszynę.

Ręce mimowolnie zadrgały.

- Cieszysz się? – zapytali.

- Bardzo...

- Chodź z nami i pokaż, jak pisze prawdziwy pisarz. Pokaż nam to tej nocy.

- Tak... Już idę... Już... - rzekłszy to, zszedł wolno po schodach i w otoczeniu niezwyklej gości ruszył w kierunku niesamowitego prezentu.

Gdy podeszli do składu węgla i stanęli gdzieś z boku, Cliff ukląkł na zmarzniętej, nocnej ziemi i dotknął z niedowierzaniem klawiszy złotej maszyny.

Były. Czuł je. Jemu dane.

Zaczął delikatnie bębnić po nich, jakby coś naprawdę pisał, pełen uniesienia i szczęścia, zamykając z rozkoszy oczy.

- Tak, tak! Dobrze, dobrze – chwalili go stojąco naokoło mężczyźni. – Wiemy, co teraz piszesz, wiemy to. Niepotrzebna ci już kartka, po cóż ci ona.

I pisał zawzięcie tej nocy, a pięciu tajemniczych przybyszów z daleka patrzyło na jego dzieło, tak, jak dotąd spoglądali nań z pięciu portretów, wiszących w kolorowych pokojach samotni.

- Tak, tak. Dobrze, dobrze... - szeptali.

A on pisał, pisał, pisał.

Po tygodniu mieszkańcy wsi, na skraju której znajdował się jego dom, zaniepokojeni faktem, iż od miesięcy nie widziano go nigdzie w okolicy, postanowili zobaczyć, co też dzieje się u osobliwego sąsiada–odludka.

Był mroźny poranek, dość mroźny jak na początek marca.

Do wiosny było jeszcze bardzo daleko, choć słońce wędrowało już nieco wyżej na widnokręgu, a tu i ówdzie dało się słyszeć pierwsze, nieśmiałe ptasie trele.

Przedarłszy się przez wysokie zasy, otaczające samotne domostwo pisarza, stanęli na wydeptanym w śniegu przejściu, wiodącym do składu z węglem.

Ktoś krzyknął z przerażenia, ktoś inny jęknął boleśnie.

Wystarczyło tylko spojrzeć.

Podeszli bliżej i zastali go w tej samej pozie, w jakiej był owej nocy, gdy miała miejsce przedziwna „wizyta” – klęczał tam nadal, jakby zatrzymał się czas.

- Zamarzł na kość... - szepnął jakiś mężczyzna. – Pewnie jest tu od dawna.

Oderwano przymarzniete do klawiatury starej, zniszczonej maszyny do pisania palce i ostrożnie zabrano zwłoki do wsi.

Potem zawiadomiono kogo trzeba.

Dom stał opuszczony i zapomniany jeszcze przez rok.

Ani dnia dłużej, ani godziny.

W rocznicę śmierci przedziwnego pisarza, z nieznanych bliżej powodów stanął w środku nocy w ogniu i doszczętnie spłonął.

Ludzie omijali potem to miejsce, z lękiem spoglądając na nie z daleka.

Nawet zwierzęta i ptaki przeniosły się w inne, bardziej przyjazne strony.

Pogorzelisko porosło wysokie na metr zielsko, a czas zatoczył koło.

*Tylko portrety pięciu nocnych gości nie uległy spaleniu.
Leżały nadal na zgliszczach podłogi i spoglądały nieruchomymi oczami w niebo.*

15 lutego 2015

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

mike17, dodano 28.02.2015 16:13

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.